

Przyznam, że na siłownię wcale nie chodzę po to, by zbudować jakieś oszałamiające mięśnie, lecz z zupełnie innych powodów. Pewnie to banał, ale mąż wkurwia mnie tak mocno, że po prostu muszę wychodzić z domu, by nie ścinać się z nim na każdym kroku i odetchnąć pełną piersią – bez niego. Nie, żebyśmy byli nieudanym małżeństwem, bo w wielu kwestiach stanowimy duet doskonały, że już nie wspomnę o dwójce cudownych dzieci, ale... no właśnie.

Im dłużej jesteśmy ze sobą, tym bardziej działamy sobie na nerwy. Czar miłości dawno minął, ale obojgu nam wygodnie z tym, co jest, i... chociaż w łóżku nie ma już prawie nic, to nie chcemy tego zmieniać. Fajny dom, dobre zarobki, własne pasje, rewelacyjne urlopy z tych na bogato. Bez tego irytującego pana nie byłoby mi w życiu tak dobrze, jemu zresztą również, więc siedzimy w tym oboje. No a siłownia pozwala mi odżyć i spuścić nerwowe ciśnienie, które jednak ostro gromadzi się pod czaszką.

Zerkam na wyświetlacz i już mam kliknąć *stop*, bo właśnie wybiła dwudziesta ósma minuta treningu, kiedy w korytarzu od strony szatni pojawia się przebrana w sportowy strój blondynka. A... mmm, rany, ładnie wygląda! Granatowe legginsy trzy czwarte i dłuższa pomarańczowa koszulka zasłaniająca biodra. Kobieta może być kilka lat młodsza ode mnie, ale przypuszczam, że nie więcej. Zaskoczona orientuję się, że mija rząd rowerków stacjonarnych, nie wchodzi też na orbitreki i... za moment skręca w alejkę z bieżniami. Odwracam głowę ku fikusom, żeby nie gapić się tak ostentacyjnie, ale przyznam, że kiedy pomarańczowa koszulka pojawia się na maszynie tuż obok mnie, zerkam na nią kątem oka.

– Cześć – mówi krótko i patrzy na mój wyświetlacz. – Prawie pół godziny, nieźle – dodaje.

– Mhm, staram się trzymać formę.

Blondynka uruchamia sprzęt i podkręca tempo na wyższe niż moje, i to ot tak, od razu.

– Bez rozgrzewki? – zagaduję.

Sąsiadka uśmiecha się i odpowiada wesoło.

– To właśnie moja rozgrzewka.

Po chwili zasuwa już tak szybko, że mnie pewnie poplątałyby się nogi, gdybym miała spróbować takiego wyczynu.

– Podziwiam.

– Nie ma czego, biegam pięć razy w tygodniu, w tym dwa na siłowni, więc forma już zaskoczyła – wyjaśnia i jeszcze bardziej podkreśla tempo.

W jakiś niewytłumaczalny sposób czuję się przy niej skrępowana i mam wrażenie, że na twarzy maluje mi się właśnie mina cielęcia.

– Skubana. Ja bym umarła – żartuję, ale to taki żart z dużą dozą prawdy.

– Diana jestem – przedstawia się nagle, ale nie podaje ręki, bo biegnie zbyt szybko.

– Aga – odpowiadam. – Miło poznać.

Pędząca obok lekko przechyla głowę i patrzy na mnie tak, że robi mi się dziwnie.

– Często tu bywasz? – pyta.

– Zaczęłam miesiąc temu, staram się wpadać co trzy dni.

Z niepokojem patrzę na mijające trzydzieści minut ćwiczeń. Jeszcze chwila i odpadną mi nogi, a ostatnie, czego teraz chcę, to kończyć trening.

– Czyli rekreacyjnie? – dopytuje się Diana.

– Tak... psychikę sobie prostuję – rzucam i dodaję z dowcipem. – Ruch świetnie robi na kłótnie małżeńskie.

Po cholere to powiedziałam? Nie wiem, ale biegnąca obok wybucha śmiechem, a ten znów jest tak perlisty, otwarty, aż dech mi zapiera. No naprawdę... fantastyczny.